

JAN ADAMUS (Łódź)

Historia prawa a cztery nauki pokrewne (etnografia, archeologia, antropologia i lingwistyka)

Owymi czterema siostrzycami historii państwa i prawa są etnografia, archeologia, antropologia i lingwistyka. Posuwają one nasze wiadomości o dziejach Słowian daleko wstecz, aż poza ich etnogenezę. Tam gdzie się kończą pewniejsze źródła pisane, rozpoczynają się fragmentaryczne i niejasne wiadomości starożytnych pisarzy, a dalej kończą się nawet i one. Takie ciemności dopiero pomagają rozjaśnić owe cztery nauki. Są to zatem nauki historyczne w swej istocie, to znaczy w celu badawczym oraz w swym idiograficznym charakterze. Są bowiem te nauki nastawione na stwierdzenie jednorazowych w zasadzie przebiegów dawnych zjawisk społecznych, a nie na stwierdzenie takich praw, które będą miały znaczenie również i dla innych ludów. Nauka badająca stosunki u innych ludów jest idiograficzna, o ile się ogranicza do opisu i stwierdzenia faktów (etnologia czy też socjologia opisowa), a nomotetyczna, o ile zmierza do stwierdzenia praw, które się dadzą też przenieść i na nasz, ściśle historyczny teren. Pierwsza daje nam tylko analogie, które wszakże mogą być ważne i dla historycznych celów Słowiańszczyzny, druga daje natomiast jeszcze więcej, bo prawa, z których już wprost można coś wydedukować co do naszej przeszłości. H. I. M a r r o u pisze o stosunku do tych nauk: „Jak się czasy zmieniły! Nie znajdujemy już zdobywczych pretensyj socjologii Durkheima lub Simianda, których 'prawa' miały, wedle ówczesnych nadziei, w przyszłości uzasadnić pojedyncze fakty historyczne. Stwierdzam, że nauki społeczne, które już dzisiaj nie oddają się marzeniom o swej przyszłości, nie wspominają już o narzuceniu historii praw generalnych, lecz po prostu o dostarczeniu jej orientacji badawczej, o poddaniu jej sugestii, by się liczyła z pewną liczbą składników zmiennych przy podawaniu typów strukturalnych lub procesów rozwojowych, pojęć nadających się do użytkowania przy interpretacji dokumentów i wyjaśnianiu ich zawartości. Istnieje współpraca pomiędzy tymi rozmaitymi dyscyplinami, a nie sprowadzanie jednej do innych. Historyk nie może się spuścić na socjologa lub psychologa, że podejmą jego pracę zamiast niego.

Istnieje pewna płaszczyzna specyficzna, na której się on znajduje, np. analiza i przedstawienie charakteru, osobistości naszych bohaterów; to jest coś innego i to więcej od tego, czego uczy eksperymentalna nauka zwana psychologią”¹. Marrou, jak widzimy, stawia nawet sprawę szerszej, włączając też zagadnienie stosunku historii do psychologii. Jak w swej książce, dalej przez nas cytowanej, Marrou nie operuje pojęciem nauk idiograficznych i nomotetycznych, natomiast wplątuje tutaj pojęcie nauki eksperymentalnej, które nic nie ma do czynienia z naszym zagadnieniem. Psychologia jako nauka nomotetyczna a nie jako nauka eksperymentalna staje do historii w podobnym stosunku, jak np. socjologia, nauka zdecydowanie nie eksperymentalna.

Marrou w powołanym wyżej miejscu stawia też problem, czy dwie pokrewne dyscypliny naukowe należy sprowadzać jedną do drugiej, czy też utrzymać jako odrębne. Taki problem ma swoje znaczenie praktyczne przy tworzeniu działów w bibliotekach albo też przy obsadzaniu katedr uniwersyteckich, natomiast z punktu widzenia wyłącznie poznawczego musi nam przyświecać ogólna zasada: gdziekolwiek i od kogokolwiek możemy uzyskać jakiekolwiek światelko dla wyjaśnienia nas interesujących problemów naukowych, tam musimy je czerpać bez oglądania się na jakiegokolwiek „sztuczne” przegrody pomiędzy dyscyplinami. Konieczność badawcza może nam narzucać niejednokrotnie przekroczenie granic własnej dyscypliny i przez to nikt nie wyrzeka się swojej macierzystej nauki. Granice stawia dopiero nasza osobista wiedza i kompetencja, brak np. wiadomości lingwistycznych może uniemożliwić historykowi szukanie pomocy w lingwistyce.

Mimo to zauważamy w ostatnich czasach próby włączenia do historii pewnych dyscyplin, i to na równi na wschodzie, jak i na zachodzie. Jeśli nauka radziecka, a za nią nasza włącza archeologię do historii, to np. wspomniany już Marrou włącza do niej lingwistykę². Podobna opinia staje w sprzeczności z wyżej powołaną, słuszną, że istnieje tylko współpraca pomiędzy dyscyplinami, a nie dążność do sprowadzania jednej do drugiej. Ta nie zauważona zapewne przez Marrou sprzeczność wewnętrzna wydaje mi się dowodzi, że w tym nie idzie tak o kwestię klasyfikacji nauk, ile o pewne dążności do syntetyzowania wiedzy. To samo, wydaje mi się, możemy przyjąć i dla nauki marksistowskiej³. Na ile rzecz trafnie wi-

¹ H. I. Marrou, *L'histoire et les historiens*, Revue historique, t. 217, 1957, s. 283.

² *De la connaissance historique*, Paryż 1956, s. 112. Równoczesne występowanie podobnych tendencji w nauce marksistowskiej i burżuazyjnej wydaje się świadczyć, że mimo wszystkich różnic dzielących je, przecież niejedno je też łączy. Gdyby było inaczej, nie opłacałoby się nawet polemizować z odmiennym podejściem naukowym.

³ Zamierzamy o tych tendencjach napisać obszerniej na innym miejscu.

dzimy, dawniejsza (nazwijmy ją umownie pozytywistyczną) nauka miała skłonność do analizy, rozkładania całości na części składowe i traktowania tych części oddzielnie, jakby odrębnych, samodzielnych rzeczy. Teoretycy zdawali sobie sprawę z tego, jakie są granice analizy, ale praktycy naukowcy byli skłonni do analizy nie tylko dlatego, że pozwalała ona bardzo skomplikowane i zatem trudne do zbadania całości uczynić uchwytniejszymi, ale również i z racji analogii do postępowania nauk eksperymentalnych, które przy eksperymencie starają się izolować jeden czynnik od innych, aby móc oznaczyć jego skutki niezależnie od innych czynników. W każdym razie pewne zaniedbanie całości nie da się teoretycznie usprawiedliwić i było niewątpliwie błędem, który obecnie rozmaite nauki starają się poprawić i nadrobić.

Z tą niewątpliwą skłonnością nowszej nauki nie ma wiele do czynienia bliska współpraca czterech nauk wymienionych w tytule niniejszych uwag. Należą one przez swe zadania i charakter stosowanej metody do nauk historycznych, ale z takiego czysto teoretycznego stwierdzenia niewiele praktycznych konsekwencji wyniknie. Każda z tych nauk jest tak rozległa i wymaga tak wiele wiadomości od badacza, że nie możemy oczekiwać od historyka czy też historyka prawa, że zdoła na tyle opanować owe dyscypliny, by był w stanie pracować badawczo na ich terenie. Nawet specjaliści jednej z tych „czterech siostrzyc” nie są w stanie przemienić się również i w specjalistów innych tych „siostrzyc”. Wprawdzie niejednen z nich może badawczo niejedno dorzucić również i tym siostrzycom, ale w zasadzie pozostaje specjalistą jedynie jednej z nich.

To co je do siebie tak bardzo zbliża, to wspólne zadania rozświetlenia przeszłości nie rozjaśnionej zupełnie albo też jedynie w stopniu niewystarczającym — źródłami pisanymi. Każda z tych nauk może wnieść do tej ciemnej przeszłości zaledwie drobny promyk światła, wobec czego szuka pomocy u sąsiadek. Dopiero łącznie te cztery nauki tworzą jakiś większy snop światła. Dlatego też i współpraca pomiędzy tymi dyscyplinami musi być szczególnie bliska.

Historia czy też historia prawa może w zasadzie od tych „czterech siostrzyc” jedynie odbierać gotowe wyniki. Nawet taka znajomość którejs z nich, aby można było zastosować wobec jej wyników umiejętny krytycyzm, wydaje się przekraczać zwykłe możliwości historyka czy też historyka prawa. Możliwe i dopuszczalne wyjątki potwierdzają tylko regułę. Szczególnie wielkie niebezpieczeństwo pokus do dyletantyzowania wydaje się przedstawiać grupa nauk prawie identycznych, a nazywanych etnologią czy też socjologią historyczną. Niebezpieczeństwo to na innym miejscu nazwałem socjologizmem. Tymczasem słabiej przygotowanym historykom wyniki zdobyte przez zapuszczających się na nieswoje tereny kolegów wydają się fantastycznie duże, gdyż przecież w ogóle zdobycie na

tych polach jakiegoś światła robić musi wrażenie czegoś fantastycznie nierealnego. I to wrażenie zachęcać może do zbyt może pochopnego wzięcia się do rzeczy, do których trzeba najpierw zdobyć przygotowanie.

Takie uwagi wydają mi się potrzebne jako wstęp do krótkiego omówienia dwu książek, których znaczenie (również i dla historii prawa) wydaje mi się bardzo poważne. Zachodzi pomiędzy tymi książkami wiele różnic, z których najważniejsze będziemy się starali zaznaczyć. Mimo to dwie szczególnie cechy mają one wspólne. Jedna polega na tym, że obydwie prace zajmują się terenem owych „czterech siostr” naukowych, a druga — że dowodzą one obie, iż już poczynamy na tym terenie osiągać stopień dojrzałości i, co się z tym wiąże, większej samodzielności. Gdy u nas powstaje dopiero jakaś dyscyplina naukowa, możemy od razu lub nieco później zdobyć dobrą i liczną literaturę monograficzną czy też podręcznikową, ale mimo to może taka nowa u nas dyscyplina stanowić jedynie przedłużenie jakiejś starszej, obcej nauki, w stosunku do której nasza dyscyplina będzie się znajdować na stanowisku ucznia do mistrza. Wówczas metodologiczne wskazania bierzemy od nauki-mistrza w sposób niesamodzielny i dogmatyczny. Oznaką, że ten stan początkowy się ukończył, i że polska dyscyplina naukowa weszła w fazę dojrzałości i samodzielności, jest dopiero pojawienie się własnej polskiej myśli metodologicznej. Nie musi być ona od razu odmienna od obcej myśli, to znaczy nie musi ona od razu wniesć własne oryginalne rezultaty takiej myśli. Z chwilą gdy się pozbędzie dawniejszej niesamodzielności i dogmatyzmu, już w niej in nuce tkwią własne oryginalne zdobycze, chociażby na nie przyszło nam jeszcze dość długo poczekać. Chociażby też ta własna myśl metodologiczna wymagać miała poprawek czy uzupełnień (a co jest tak doskonałe, że ich nie potrzebuje), już tej swojej samodzielności zapewne nie utraci. To jest dopiero właściwy moment narodzin odnośnej dyscypliny jako już nauki polskiej. Otóż obie omawiane książki są dowodem, że reprezentowane przez nie dyscypliny weszły w tę fazę. Nie wydaje mi się, aby zawarta w tym stwierdzeniu pochwała była tak znowu skromna, skoro wydaje mi się, że nie ma zbyt wiele u nas dyscyplin naukowych, które by już doszły do tej fazy.

I. JANA CZEKANOWSKIEGO WYDANIE DRUGIE WSTĘPU DO HISTORII SŁOWIAN⁴

Jeżeli porównamy, chociażby tylko zewnętrznie, wydanie drugie „Wstępu” z wydaniem pierwszym⁵, to musi nas uderzyć wielka różnica pomiędzy oboma, tak w układzie, jak i w treści. Znamy autorów, którzy

⁴ J. Czekanowski, *Wstęp do historii Słowian. Perspektywy antropologiczne, etnograficzne, archeologiczne i językowe*, Wydanie II na nowo opracowane, Poznań 1957, Instytut Zachodni, ss. XX+515+8 tablic.

⁵ Dtto, Lwów 1927, Lwowska Biblioteka Slawistyczna, t. III.

mieli zwyczaj każde następne wydanie własnej książki gruntownie pracowywać (tak robił np. filozof Rickert), ale tu mamy coś innego. Trzydzieści lat, które dzielą oba wydania od siebie, to zwykle czas jednej generacji naukowej. Dlatego też bylibyśmy skłonni raczej uznać to pierwsze wydanie za program badań, a drugie za jego wykonanie, jedno za punkt wyjścia, a drugie za punkt dojścia. Oczywiście, nie podobna tego brać dosłownie, gdyż aby napisać pierwsze wydanie „Wstępu”, trzeba było już niejedno zdobyć, a po drugim wydaniu zapewne jeszcze niejednego się doczekamy od tego samego autora.

Czekanowski należy do nowatorów i twórców, którzy usilnie się starają pomnożyć to, co odziedziczyli po poprzednikach. W dodatku należą on do takich twórców, którzy jakby wywoływali sami sprzeciwy. Nie zwiększa to zapewne wartości samej twórczości, ale też na pewno jej nie pomniejsza.

Najważniejsze innowacje, wprowadzone przez Czekanowskiego, są takie:

1. Podniósł on na nowych podstawach teorię autochtonizmu Słowian, mimo że wówczas wydawała się całkowicie zbankrutowana. Miał w tym autor przeciw sobie na równi lingwistów, jak i Niemców.

2. Stworzył metodę ilościową w antropologii pod wpływem metod nowoczesnej statystyki matematycznej. Ponadto przeniósł ją też do lingwistyki. Odnoszono się do tej innowacji dawniej sceptycznie, ale dzisiaj stanowisko to uległo już stopniowo przełamaniu. Uczeń Czekanowskiego, śp. S. Klimk zapoznał z tą metodą naukę światową w zastosowaniu jej do etnografii amerykańskiej (1935) i zdobyła ona sobie pewne uznanie w nauce amerykańskiej (A. L. Kroeber).

3. Nawrót do porzuconej (poza archeologami niemieckimi) dawnej teorii Augusta Schleichera o istnieniu grupy północnoindoeuropejskiej, obejmującej Germanów, Baltów i Słowian, a to przeciw panującej wówczas powszechnie teorii o podziale na języki satemowe i kentumowe.

Jeszcze tylko niektórzy historycy opierają się tym już prawie panującym poglądom (s. 250). Jest też mowa o „uczuciowo-opozycyjnym ustosunkowaniu się” do teorii Czekanowskiego i jego uczniów (s. 308), co odczuwam boleśnie jako zarzut niewłaściwego stosunku do nowej idei — ocena trafności stanowiska krytyków też nabiera cech obiektywności po upływie pewnego czasu i wówczas możemy łatwiej odróżnić zdrową krytykę od niezdrowej, ta ostatnia zaś wywołuje w nas wówczas uczucie bolesne. Jest też mowa o tym, że teoria gocka została rozpatrzona krytycznie przez historyka dopiero po upływie lat 24 (s. 250).

Czekanowski jest z fachu antropologiem i równocześnie etnografem (właściwie etnologiem, jego badania afrykańskie w początkach naszego stulecia jeszcze do dziś nie doczekały się pełnej publikacji). Rozumie się

jednak doskonale też na zagadnieniach lingwistycznych i archeologicznych. Jeśli dane etnograficzne znajdują w jego dziele słabsze uwzględnienie, to dzieje się to jedynie dlatego, że brak jeszcze prac, które umożliwiłyby syntezę etnograficzną⁶.

Streszczanie dzieła tak bogatego w treść odprowadzić by nas musiało daleko od historii państwa i prawa. Spróbujemy na podkładzie ogólnej dyspozycji dzieła zwrócić uwagę na takie zagadnienia, które nas tutaj mogą szczególnie zainteresować.

Rozdział I zajmuje się ogólnie zagadnieniami antropologii⁷, podczas gdy rozdział II zagadnieniem przedindoeuropejskiej ludności Europy. W związku z tym nabiera pewnego znaczenia kwestia śladów instytucji matriarchalnych u ludów śródziemnomorskich (s. 39).

Rozdział III omawia Indoeuropejczyków południowych (s. 98; wchodzi tutaj prawo włoskie), a rozdział VI ich krewnych północnych, zgodnie ze wspomnianym już nawrotem do teorii Schleichera. Zdaniem autora, Prusowie kałtyjscy byli autochtonami terenu Prus, podczas gdy wschodni Bałtowie wędrowali z Podlasia naokoło Polesia do górnego dorzecza Dniepru i Wołgi. Wyodrębnienie się zatem Słowian ze wspólnoty bałto-słowiańskiej nie nastąpiło na skutek przesunięcia się Bałtów na północny wschód, lecz jako skutek obcego nawarstwienia na Słowian⁸.

Rozdział V przechodzi do pierwotnej Słowiańszczyzny. Wiele dyskutowana kwestia jej autochtonizmu znalazła się dzisiaj w takiej sytuacji, że jest możliwe uzgodnienie stanowisk archeologii polskiej i niemieckiej przez przyjęcie, że wyodrębnienie się Słowiańszczyzny nastąpiło przez nawarstwienie iliro-weneckie (T. L e h r - S p ł a w i ń s k i). Z trzech teorii dotyczących praojczyzny Słowian ma dzisiaj przewagę teoria zachodnia, której jednym z najwybitniejszych przedstawicieli jest autor. Warto zanotować, że *książę* przyszedł do języków słowiańskich z germańskich w czasie od III w. przed n. e. do II w. n. e. (s. 170), co prawda chronologia ta nie jest pewna (s. 171). Świadczyłoby to ewentualnie o zaznajomieniu się przez Słowian już w tym czasie z jakąś władzą polityczną, podobnie jak *želsti* (płacić, uiścić), przejętek germański z tych czasów, o znajomości zobowiązań lub danin (s. 171). Natomiast *kupić* i *szeląg* są późniejszym przejętkiem germańskim z wieku IX (s. 171).

Rozdział VI zajmuje się zróżnicowaniem pierwotnej Słowiańszczyzny, a rozdział VII początkowymi jej dziejami. Autor przyjmuje istnienie państwa Gotów, które łączyło Słowian zachodnich ze wschodnimi. Państwo

⁶ Rozdział XIII napisał prof. S. Nosek.

⁷ Do wzmianki o nietechnicznym stosowaniu słowa „rasa” dorzucić należy, że bierze to zapewne początek w języku angielskim, gdzie *race* ma znaczenie nie tylko rasy antropologicznej, ale również i narodu.

⁸ Dorzucić należałoby do literatury A. Kamiński, *Jaćwież*, Łódź 1953.

to zniszczyli w 376 r. Hunowie, opierający się na Alanach, spomiędzy których szczepy Serbów i Chorwatów zeslawizowanych na Ukrainie przechodzą na zachód Podkarpaciem, gdzie zakładają Białą Chorwację, a następnie przechodzą na południe. Ekspansja Słowian wschodnich w wiekach IX i X w trzy strony świata, z wyłączeniem zachodu, wskazuje, że polskie terytorium etnograficzne było już skonsolidowane (s. 221). Autor przyjmuje nawarstwienie się Germanów nad Słowianami zachodnimi, jednakże trwa to niedługo i nie pozostawia śladów antropologicznych. Zespolenie języka polskiego i połabskiego w gałąź lechicką stanowi niespodziankę, którą autor tłumaczy pozostawianiem tych szczepów w ściślejszej łączności, zapewne politycznej (s. 236).

Rozdział VIII przechodzi już do początków Polski. Wydaje się oczywiste, że nagle pojawienie się Polski jako silnego państwa wymagało pracy wielu generacji, a państwo to nie mogło „stanowić wyniku spontanicznego wybuchu czy też genialnej improwizacji”, wskutek czego przyjmuje daleko posunięty proces zróżnicowania społecznego i słabość organizacji rodowej na terenie Polski (s. 246). Rzekomy absolutyzm piastowski świadczy, jego zdaniem, za podbojem dokonany przez Polanów, natomiast brak nam śladów obcego najazdu jako państwowotwórczego czynnika. Teorię gocką autora, to jest przejście Gotów przez ziemie polskie od Bałtyku nad Czarne Morze przyjmujemy. Natomiast nie wydaje się nam wykazane, że Gotowie utrzymywali szlakiem wiślanym nadal łączność z Bałtykiem i w tym celu utworzyli na tym szlaku punkty zaopatrzenia z władzą nad ludnością miejscową. Byłoby to czymś niezwykle i równocześnie trudnym, nie wiadomo po co mieli Gotowie coś podobnego organizować i jak te słowiańskie ludy dawały się łatwo opanowywać słabym a rozproszonym oddziałom gockim. Gdyby nam dostarczono bardzo mocne dowody, trzeba by taki fakt przyjąć, ale z pewnym zdziwieniem, natomiast trzeba podobną teorię odrzucić, jeśli tak mocnych dowodów brakuje.

Dalszą teorią jest teoria o istnieniu nie poświadczonego przez źródła pisane państwa lechickiego (s. 250—255), do którego należeli też wschodniosłowiańscy Radymicze i Wiatycze jeszcze w czasie przebywania w swych dawnych siedzibach na Podlasiu, oraz dzisiejsze Moravské Lašsko. Państwo to miało mieć ustrój federacyjny, a upadło na skutek uderzenia Karola Wielkiego, przy czym federacja rozpadła się na mniejsze państwa, pomiędzy innymi na państwo Piastów. Hipotezę tę uważam za nie udowodnioną, ale uznaję jej siłę, pobudzającą do poszukiwań jakichś śladów państwowości na naszych ziemiach. Teoria rodowa miała z natury rzeczy skłonność do przesuwania bardzo daleko naprzód początków tej państwowości, zwłaszcza jeśli jeszcze w XV w. dostrzegała przeżytki wspólnoty rodowej, układ wspólnoty pierwotnej w ustroju szlachty polskiej. Czekanowski wręcz odwrotnie, rozpoczyna dzieje państwowości

na ziemiach polskich co najmniej od czasów Gotów. Przypominamy, silne państwo Piastów w X w. zmusza nas do założenia dłuższego też rozwoju nie tej dynastii, lecz państwowości w ogóle. Dzieje wszakże owego rozwoju stanowią w tej chwili tylko postulat programowy. Może, jeśli się nam udało uchwycić jakieś konkretne cechy państwa pierwszych Piastów w miejsce dotychczasowych, doktrynalnych raczej niż historycznych ogólników w rodzaju absolutyzmu, dziedziczności tronu itp. — postulat ów pocnie też przybierać jakieś realniejsze kształty.

Do kwestii dialektów polskich dorzuca Czekanowski osobny, chociaż mały dialekt sandomierski.

Rozdział IX zajmuje się dziejami stosunku nauki światowej do zagadnienia antropologii Słowian, a rozdział X antropologią wczesnej Słowiańszczyzny. Na zachodzie Czech ludność iliryska (z nawarstwieniami celtyckimi i germańskimi) tworzy państwo Przemyślidów na skutek najazdu lechickiego, podczas gdy na wschodzie powstaje państwo Sławnikowiców na skutek najazdu chorwackiego. Także i tę teorię traktuję jako roboczą i pobudzającą myśl hipotezę.

Poważne znaczenie ma stwierdzenie przez autora „ciągłości rozwoju stosunków antropologicznych na terenie Słowiańszczyzny pierwotnej” i braku „gwałtownych zmian ludności, które dawniej uważano za oczywistości nie podlegające dyskusji”. Tak przepływ Germanów wschodnich czy też Gotów, a także Hunów nie pozostawił śladów antropologicznych, natomiast najazd Awarów wywołał wielkie przesunięcia ludnościowe. Brak zmian antropologicznych na terenie Prus skłania do poglądu, że dawni Prusowie nie zostali wytrzebieni, lecz zostali zgermanizowani. Tak samo kolonizacja na prawie niemieckim w Polsce obejmowała zasadniczo ludność miejscową, przy znacznym udziale Ślązaków i Łużyczan. W przeciwieństwie do tego znaczne przepełnienie elementem nordycznym północnej Małopolski daje podstawę do hipotezy, że ekspansja wielkopolskich Piastów stosowała gwałtowne środki, a przynajmniej łączyła się z napływem ludności wielkopolskiej (s. 364). Tak samo Niemcy kolonizowani w Galicji przez władze austriackie, pochodzący z Palatynatu, zachowali swoją strukturę antropologiczną aż do wysiedlenia ich przez Hitlera (s. 367). Dane antropologiczne też każą zrewidować dawny pogląd, przeceniający rolę kolonizacji polskiej na Ukrainie (s. 366). Ta ciągłość antropologiczna na tych terenach stanowi argument za zachodnią teorią autochtoniczną, podczas gdy przeciwne założenia skłoniły L. Niederalego do przyjmowania Wołynia za praojczyznę Słowian (s. 377). Także i rozdział XI należy tutaj.

Natomiast rozdział XII zwraca się do etnografii, co wszakże jak już zauważyliśmy — nie daje w tej chwili większych rezultatów, poza potwierdzeniem spostrzeżenia K. Moszyńskiego o wielkiej rubieży

etnograficznej na północny wschód od Wisły, gdzie w pierwszym tysiącleciu p.n.e. zatrzymała się kultura łużycka, przy czym znaczenie owej rubieży utrzymało się do dnia dzisiejszego.

Rozdział XIII, napisany przez prof. S. N o s k a, zajmuje się nawiązaniami archeologicznymi.

Ogółem dzieło Czekanowskiego stanowi nie tylko podsumowanie imponującego dorobku życiowego autora, ale może jeszcze więcej pobudza naszą myśl i zapładnia nowymi ideami, które zapewne będą wiodły w przyszłość tak owych „czterech siostrzyc”, jak i stojących dalej od nich nauk takich, jak właśnie nasza. W historii państwa polskiego i w historii prawa polskiego nawiązania do początków państwa i prawa słowiańskiego mają tak wielkie znaczenie, że aż czasami decydujące o charakterze naszej nauki. Na tym terenie musimy przyjmować wyniki badań „czterech siostrzyc naukowych”.

W związku z tym interesuje mnie w tej chwili szczególnie zagadnienie polityczno-militarnego najazdu i podboju. Czekanowski w pierwszym wydaniu „Wstępu” zajął — podobnie jak dawniej przed nim B a l z e r — stanowisko socjologizujące, polegające na przejęciu socjologicznej teorii podboju L. G u m p l o w i c z a i dedukujące z niej fakt rzekomego najazdu (zewnętrznego) lub też podboju (wewnętrznego) jako genezy państwa polskiego. Pomiedzy rokiem 1896 a 1933, tj. pomiędzy pierwszą a drugą redakcją wykładów Balzera nastąpiła dość znaczna ewolucja jego poglądów na stosunek historii do praw socjologicznych, wobec czego Balzer uznał za wskazane już nie ujawniać tak wyraziście swojej dedukcji; mimo to pozostawił ją, tylko bardziej ukrytą⁹. Zachodzi pytanie, jakie stanowisko wobec tego problemu zajął Czekanowski pomiędzy obydwoma wydaniem swego „Wstępu”. Leży przede mną zestawienie wszystkich miejsc drugiego wydania, w którym autor zaczepia o tę kwestię. Nie ma już wśród nich tak wyraźnego jak w wydaniu pierwszym akcesu do doktryny Gumpłowicza. Natomiast jest dla mnie wysoce prawdopodobne, że Czekanowski zajął całkowicie podobne do Balzera stanowisko: swoją dawniej ujawnioną dedukcję teraz ukrył pod wypowiedziami, które można rozumieć rozmaicie.

W związku z tym nasuwają się dwojakiego rodzaju uwagi. Pierwszy rodzaj to dwie uwagi zasadnicze. Jedna z nich dotyczy faktu, że od czasów Balzera i pozytywistycznej metodologii historycznej nastąpiła wielka i zasadnicza zmiana, która tchnęła w nauki historyczne nowego pod wielu względami ducha. Przemiana ta, przewrót lub też przełom, wiąże się z faktem, że obecnie nie wyłączamy, jak pozytywiści, subiektywnych składników aktu poznania, lecz pragniemy nad nimi możliwie zapanować.

⁹ Por. J. A d a m u s, *Problemy absolutyzmu piastowskiego*, Czasopismo Prawno-Historyczne, t. X/2, 1958, s. 24 n.

Poznanie bowiem na równi w naukach przyrodniczych, jak i humanistycznych, polega na zetknięciu się podmiotu poznającego z przedmiotem poznawanym, a jakoś aktu poznawczego zależy tak od jednego, jak i od drugiego. Pozytywiści wyobrażali sobie, że subiektywne składniki poznania można łatwo usunąć przez prosty akt woli, my zaś wiemy, że wiara ta była błędna i wiodła, jeśli nie do obłudy, to co najmniej do podświadomego ulegania wszelkiego rodzaju subiektywizmom. Pozytywistyczna teoria nauki historycznej niejako legalizowała te subiektywizmy, podczas gdy nowe podejścia, które w sposób żywiołowy szerzyły się tak wśród praktyków, jak i teoretyków nauki, liczą się z subiektywizmem poznania, nie zamykają nań oczu, lecz przeciwnie, starają się go zwalczyć. Te nowe podejścia mobilizują nas do walki z subiektywizmem, podczas gdy pozytywizm usypiał naszą czujność. Szukamy zatem gorączkowo nowych metod, które by mogły nas zbliżyć do rzeczywistego, a nie jedynie fikcyjnego obiektywizmu. Wśród tych nowych metod należy zanotować postulat H. I. Marrou, który w oparciu się o terminologię Sartre'a domaga się, by badacz ujawniał przed czytelnikiem swoje subiektywne nastawienia; zwie się to, za Sartre'm, „psychanalizą egzystencjonalną”¹⁰. Zapewne nasz smak nie dopuści do przyjęcia się podobnego procederu, który zanadto przypominałby jakieś publiczne spowiedzi pewnych sekt czy też samobiczowania oraz inne niezdrowe zjawiska tego typu. Natomiast badacz sam dla siebie powinien starannie zbadać własne subiektywne predyspozycje, a przed czytelnikiem ujawnić wszystkie te rzeczy, które coś mają do czynienia z argumentacją. Sądzę, że tak sformułowany postulat godzi się właściwie nawet i z pozytywistyczną teorią nauki, a tylko dzisiaj posiadamy pewien rozmach i chęć nową do stosowania takich procesów. Na tym tle staje się chyba jasne, jak stanowczo musimy przeciwstawić się wręcz przeciwnym procedurom, gdy w rzeczywistości w jakiejś mierze stosuje się dedukcję z prawa socjologicznego, a w świadomości (zapewne nie całkiem jasno uświadamianej), że to byłoby ujawnieniem słabej strony swego badania, chowa się to przed czytelnikiem. Należy to chyba do tych zjawisk, które ten sam Marrou nazywa adwokackimi sposobami, aby przekonać nie siebie, ale czytelnika.

Następna uwaga natury bardziej zasadniczej to fakt, że od czasu L. Gumplowicza socjologia stała się skromniejsza. F. Znaniecki pisał: „Każda nauka w okresie swej młodości ma nader szerokie, entuzjastyczne i nieokreślone ambicje, które tylko stopniowo, z nadchodzącą dojrzałością, uspokajają się pod wpływem postępu badań i refleksji metodologicznej, wykreślających coraz ściślej jej przedmiot i zadania”¹¹. Spostrzeżenie

¹⁰ Piszę o tym równocześnie na innym miejscu.

¹¹ *Prąd socjologiczny w filozofii nowoczesnej*, Księga pamiątkowa ku czci prof. W. Heinricha, Kraków 1927, s. 1 n.

to odnosi się oczywiście do samej socjologii, która — ciągle wedle spostrzeżeń tego znakomitego socjologa — przejawiała nawet ekspansję na teren filozofii, tworząc prąd socjologiczny w filozofii. Już jednak w 1927 r. można było mówić o osiągnięciu takiego etapu, na którym socjologia pozbyła się swych dawnych młodzieńczych złudzeń co do samej siebie. Istotnie, jeśli porównamy teorię socjologiczną podboju — powstałą nie w drodze normalnej indukcji, a ponadto nie w drodze myślenia kauzalnego¹², lecz jakby „historii historyzującej” (*histoire historisante*), czysto wypadkowej — z tym, co się na ten temat myśli w ramach myśli marksistowskiej, ale nie tylko marksistowskiej, to musi nas uderzyć zasadnicza różnica pomiędzy obu podejściami do tego samego zagadnienia¹³. Zasadnicze też wątpliwości dzisiaj musi wzbudzić takiego typu dedukcja

¹² Adamus, o. c., s. 25 n.

¹³ Wobec trudności zdobycia tej książki, uważam za wskazane streścić obszerniej W. Ch. Mac Leod, *The Origin of the State Reconsidered in the Light of the Data of Aboriginal North America*, Doctor-Thesis in Sociology, Univ. Pensylvania, Philadelphia 1924. Autor wychodzi od faktu społecznej stratyfikacji, uwarstwienia. Istnieją dwie naukowe teorie tego: jedna podboju (Gumpłowicz, Ward, Oppenheimer), której brak faktów, gdyż wszędzie przed podbojem wyłoniły się arystokracje. Teoria podboju otrzymuje nowe życie od angielskich dyfuzjonistów (Rivers, Smith, Perry). Druga odnosi powstanie uwarstwienia społecznego i państwa do czynników wewnętrznego rozwoju bez udziału czynników zewnętrznych. Lecz ta teoria ma dwa odgałęzienia: jedno odnosi genezę tego do gospodarczego podziału pracy i własności (autor stawia na równi Engelsa z J. Novicov, *Les luttes*, Paris 1888). Jednakże Północna Ameryka wykazuje arystokracje bez podziału pracy. Drugie odgałęzienie odnosi to do psychofizycznych różnic pomiędzy jednostkami. Autor widzi tylko możliwość wewnętrznych psychologicznych procesów i dyfuzjonizm, który przypisuje powstanie społecznego uwarstwienia jednemu lub paru ośrodkom, a w nich mogło uwarstwienie powstać w drodze podboju. Państwo powstaje równocześnie ze społecznym uwarstwieniem, wobec czego każde państwo jest rzeczywiście „państwem klasowym”, a państwo należy do natury ludzkiej. Nie ma wypadku, aby nieodróżniczkowane społeczeństwo podbijało drugie. Niektóre grupy wytworzyły sobie uwarstwienie wyraźnie wewnętrznej ewolucji. Nie da się też wykazać dyfuzji uwarstwienia społecznego. Jeśli gdzieś było naśladownictwo, to dlatego, że u naśladowców powstały już warunki sprzyjające przejęciu. Teoria podboju buduje na wojowniczości i przedsiębiorczości ludów pasterskich, czego fakty nie potwierdzają. Natomiast rolnicy są gęściej zaludnieni i dlatego militarnie silniejsi. Pasterze przychodzą do rolniczych, kulturalnie wyżej stojących okręgów, ale nie jako podbójcy. Autor występuje w ogóle przeciw teorii podboju. Tak imigracje tworzą niepełnoprawnych obywateli. Podbój z utrzymaniem podległości podbitych wymaga już wewnętrznego zróżniczkowania i administracyjnego mechanizmu. Nie mogą wyjaśnić powstania uwarstwienia społecznego teorie oparte jedynie na historycznych danych, ani na analizie kultury, ani na dedukcjach psychologicznych. Teoria autora idzie w tym kierunku, że arystokracja powstaje na skutek powstania urzędu cywilnego naczelnika, którego potomkowie tworzą warstwę uprzywilejowaną.

z praw socjologicznych czy też historycznych¹⁴. Nie ma chyba tak dobrze ugruntowanego prawa, któremu by nie groziło żadne niebezpieczeństwo ze strony faktów przemawiających za czymś innym. Dlatego też tylko w ostateczności taka dedukcja może nam stworzyć jakiś surogat pełnej wiedzy.

Drugi rodzaj uwag dotyczy pojęcia ekspansji pewnych kultur i związanych z nimi ludów. Pojęciem takim operuje archeologia. Zachodzi niebezpieczeństwo, że z racji pewnych naszych wyobrażeń apriorycznych podstawimy pod pojęcie ekspansji pojęcie podboju czy najazdu. O to właśnie można podejrzewać Czekanowskiego, który nieledwie promiscue używa tych dwu pojęć. W rzeczywistości przy pomocy danych wszystkich czterech „siostrzyc” można stwierdzić tylko „napływ” pewnej ludności (takiego terminu używa autor na s. 342), a znaczyć to może równie dobrze nawarstwienie, jak i podwarstwienie się ludności imigrującej¹⁵. O ile zatem brakuje nam danych dalszych, samo zjawienie się jakiejś nowej fali etnicznej nie przemawia za teorią najazdu. Dlatego też nie wydaje się, aby cenne dzieło Czekanowskiego wzmacniać miało teorię podboju.

II. KAZIMIERZA MOSZYŃSKIEGO WSTĘP DO ETNOLOGII¹⁶

Do zaznaczonych już wyżej różnic pomiędzy obu autorami omawianych tutaj wielkich i pięknych dzieł trzeba dorzucić jeszcze jedną. Prof. Czekanowski był pierwszym Polakiem, który już chyba w 1915 r. zgłosił akces do niemieckiej szkoły historyczno-kulturalnej w etnografii, a nawet może być „obwiniany” o to, że to właśnie dzięki niemu zapanował ten kierunek w polskiej nauce i to nie tylko już w etnografii, ale między innymi również i w historii prawa polskiego. Zapewne też do dzisiaj dochował on przekonanie o wysokim i dodatnim znaczeniu tej szkoły, skoro wcielił do swej książki napisaną przez prof. Noska chwalącą wzmiankę o niej (s. 429 n.). Co prawda można by wątpić, czy dla prof. Czekanowskiego miała główne znaczenie cała teoretyczna strona książki Gräbnera, to znaczy jej powiązania i implikacje filozoficzne; specjalna metodologia etnograficzna tej książki na pewno miała nieporównanie większe znaczenie dla prof. Czekanowskiego.

¹⁴ W innej pracy staram się wykazać, że u nas obóz monarchiczny źle widział specyficzności Polski i chciał dlatego poddać Polskę prawom rządzącym wszystkimi narodami. Dlatego też formował ten obóz (oczywiście w sposób niemethodyczny) pewne prawa historii związane z monarchią jako głównym motywem programu politycznego.

¹⁵ Por. wyżej przypis 13 o znaczeniu imigracji.

¹⁶ K. Moszyński, *Człowiek. Wstęp do etnografii powszechnej i etnologii*, Biblioteka Etnografii Polskiej, nr 3, pod. red. W. Dynowskiego, Wrocław-Kraków-Warszawa 1958, Zakład Narod. im. Ossolińskich, PAN, ss. 855+38 tablic.

Natomiast prof. Moszyński stanowił w okresie międzywojennym wyjątek, gdyż deklarował się jako zwolennik kierunku ewolucjonistycznego. Po wojnie obecnie już ogłasza drugi raz obronę tego kierunku¹⁷. Trzeba zatem staranniej przyglądać się temu, aby zrozumieć nastawienie autora do zasadniczych zagadnień etnografii.

Moszyński odróżnia w etnologii kierunek ewolucjonistyczny, w którym znowu wyróżnia dawny, schematyczny i nowszy, krytyczny, dalej kierunek tzw. historyczny, w którym podobnie wyróżnia dawny schematyczny, i nowszy (tylko jeden H. B a u m a n n), krytyczny, dalej kierunek socjologiczny (jak nazywa kierunek funkcjonalistyczny), w końcu kierunek monograficzno-historyczny. W radzieckiej nauce wyróżnia autor dwa kierunki: morganizm i kierunek monograficzno-historyczny (s. 71 n.). Jeśli porównamy ten podział na kierunki i metody z innymi, np. z podziałem przyjętym przez J. Lutyńskiego¹⁸, to stwierdzimy pewne różnice, zwłaszcza pominięcie przez Moszyńskiego amerykańskiego kierunku etnopsychologicznego.

Najważniejsza zaś właściwość ujęcia sprawy przez Moszyńskiego polega na tym, że dyfuzjonizm pojmuje jako krytyczny kierunek ewolucjonistyczny. Autor zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że to jego stanowisko idzie przeciw temu, co myślą wszyscy inni. Wszyscy przeciwstawiają sobie ewolucjonizm i dyfuzjonizm, podczas gdy autor je łączy pod jednym, wspólnym dachem ewolucjonizmu, przy czym dla pierwszego zastrzega jedynie przydawkę „schematyczny”, a dla drugiego dodatnio wartościującą — „krytyczny”. Poczynając mniej więcej od przełomu XIX i XX stulecia schematyczny ewolucjonizm ulega przeobrażeniom. Cel pozostaje ten sam, a więc mamy w dalszym ciągu jeden i ten sam kierunek. Ewolucjonistom po dawnemu przyświeca dążenie do zrekonstruowania ewolucji kultury i wykrycia rządzących nią praw. Stopniowo jednak poddają rewizji lub porzucają zbyt schematyczne i pośpieszne ujęcia swych poprzedników, oparte na zbyt paralelistycznych interpretacjach materiału”, a ewolucjonizm schematyczny przedziera się już całkowicie w krytyczny z chwilą, gdy sobie przyswaja nowe metody badawcze (s. 73 n.). Pogląd zatem Moszyńskiego buduje na przekonaniu, że jak długo cel pozostaje ten sam, to zmiana metod badawczych mniej się liczy i powinniśmy mówić właściwie o jednym kierunku. Wydaje mi się to kryterium podejrzane, wszak w wielu naukach, w których nie zmienia się aż nawet celu badania, różni rozmaite kierunki właśnie jedynie stosunek do metod badawczych.

¹⁷ K. Moszyński, *Ewolucjonizm krytyczny na tle innych kierunków w etnologii*, Lud, t. 38, 1948, i rozdział III części I Wstępu, głównie s. 71 n.

¹⁸ J. Lutyński, *Ewolucjonizm w etnologii anglosaskiej a etnografia radziecka*, Łódź 1956.

Wydaje się też, że należy wziąć pod uwagę myśl M. J. Herskovitsa: „Jeśli zapytamy, dlaczego ewolucjonizm został odrzucony przez tak przeważającą większość uczonych..., odpowiedź nasza musi być sformułowania nie tylko w terminach metodologii. Musi ona wziąć w pełni pod uwagę zmianę klimatu opinii w czasie, kiedy rozwinęła się opozycja”. Wtedy właśnie „zaczęły pojawiać się wątpliwości w słuszność ogólnej koncepcji postępu, która dominowała w myśli społecznej w okresie panowania ewolucjonizmu”¹⁹. Owa „zmiana klimatu” to jest jakiś ogólny „duch” odmienny, który obejmuje zmianę już nie tylko nastawień intelektualnych czy filozoficznych, jak u Herskovitsa. Ów jakiś ożywczy prąd wiąże się blisko z uczuciem przełomu, uwolnienia od jakichś krępujących więzów, co polega na przeciwstawieniu się dawniejszym nastawieniom. Jako zatem zjawisko historyczne jest przeciwstawienie się, ta negacja i krytyka, nawet żeby obiektywnie miała być niewielka, rzeczą istotną, której nie powinniśmy zamazywać przez zwrócenie jedynie uwagi na to, co oba antytetyczne kierunki ze sobą łączą.

Jeśli nastawienie na badanie ewolucji ma stanowić cechę odróżniającą ewolucjonizm od innych kierunków, zapytajmy, co w takim razie badają inne kierunki. Kierunek historyczny schematyczny jest przecież również nastawiony na ewolucję, powiedzmy dokładniej i ściślej: na rozwój²⁰. Znajduję w każdym razie to pojęcie u F. Graebnera²¹. Wobec tego wydaje się, że w zgodzie z założeniem Moszyńskiego powinniśmy zaliczyć całą szkołę historyczno-kulturalną, wraz ze szkołą wiedeńską, do ewolucjonizmu, na pewno wbrew jej woli.

Jak się przedstawia teraz to zagadnienie co do funkcjonalizmu? Sam Moszyński pisze, że funkcjonalizm, „nie mając na oku rekonstrukcji rozwoju kultury, ma jednakowoż za główny cel wykrycie praw, co życiem

¹⁹ Za Lutyńskim, s. 211.

²⁰ Lalande, *Vocabulaire*, wyd. 6, 1956, s. V: Evolution, widzi aż pięć znaczeń tego słowa, przy czym skarży się, że nawet filozofowie i to nawet Spencer używają tego słowa w niejasnym znaczeniu. Ibid., s. V: Evolutionisme, widzi trzy znaczenia tego słowa. Także W. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, t. III, wyd. 2, Warszawa 1958, s. 105, zauważa wieloznaczność słowa „ewolucjonizm”, np. w znaczeniu wszelkiej zmiany. Por. też J. Needham, w: *Enc. of Social Sciences*, t. 5, s. V: Evolution.

²¹ F. Graebner, *Methode der Ethnologie*, Heidelberg 1911, s. 105, pisze o „entwicklungsgeschichtliche Probleme”, przy czym ów rozwój rozumie jako właściwy obu kierunkom, ewolucjonistycznemu i historyczno-kulturalnemu. Albo też W. Foy, w przedmowie do tej książki na s. IV n., wprowadza w terminie „historia kultury” pojęcie rozwoju i twierdzi, że jest możliwa powszechna historia kultury. Tenże (o. c., s. XV, XVI) przy rozpatrywaniu związku przyczynowego pisze o warstwach (oczywiście rozwojowych). Graebner, o. c., s. 1 n., ogólnie o idei rozwoju. Por. też Lutyński, o. c., s. 223, uw. 29. To są przykłady, jakie mam pod ręką.

kultury rządzą. Tu 'socjolog' podaje rękę ewolucjonistom, gdy ten dąży do wykrycia praw, co przenikają rozwój kultury. Rozwój kultury jest przecież tylko aspektem jej życia w ciągu dłuższych okresów czasu. Krótko mówiąc, w tym tu punkcie, tzn. gdy chodzi o ostateczny cel, a mianowicie o wykrycie praw... spotykają się oba najważniejsze z dotychczas omówionych kierunków nauk etnologicznych: ewolucjonistyczny i socjologiczny" (s. 84). Moglibyśmy zatem teraz budować na „ostatecznym celu” nauki i przy podobieństwie (nie identyczności) stanowisk obu wobec tego celu — podobnie ująć ewolucjonizm razem z funkcjonalizmem pod nawias jednej nazwy. Oczywiście, tym razem nie da się tego zrobić, gdyż musielibyśmy zastosować chyba nazwę wspólną nomotetyzmu, a to byłoby w odniesieniu do funkcjonalizmu raczej niesłuszne. Funkcjonalizm bowiem zbliża etnologię do historii, a zatem do metody idiograficznej, a tylko wlecze za sobą jakieś słabe pozostałości z ewolucjonistycznego nomotetyzmu. I jeśli się mówi, że funkcjoniści nie zajmują się konstruowaniem rozwoju i ograniczają się do opisu, to jest słuszne, ale podobnie można powiedzieć o historyku, w wypadku gdy bada tylko jedną fazę (okres) rozwoju jakiejś instytucji. Dopiero zestawienie dwu lub więcej takich faz daje nam obraz rozwoju. Dlatego też funkcjonalizm operuje metodą całościową, o której wspomnieliśmy na wstępie niniejszych uwag. Co tylko razi osobę przyzwyczajoną do historii, to skłonność Malinowskiego do racjonalizmu w wyjaśnianiu związków i funkcji każdego elementu, to znaczy do wkładania w głowy krajowców myśli Europejczyków (w historii jest to zjawisko modernizacji).

Może dobrze będzie przejść od razu do właściwej mej myśli. Oto ewolucjonizm powstał pod wpływem nauk przyrodniczych i dlatego też był nastawiony wyłącznie na szukanie praw rozwojowych (ewolucyjnych) ludzkości, stąd nastawienie kosmopolityczne i skłonność do operowania składankami wyrwanych elementów z rozmaitych epok i krajów, dalej abstrakcjonizm i atomizm. Okazało się dowodnie, że rozpatrywanie spraw ludzkich wyłącznie na płaszczyźnie nomotetyzmu wiedzie do ich wykoślawienia, że zatem trzeba koniecznie korygować to podejście wręcz przeciwnym historycznym, czyli zasadniczo idiograficznym²². I nie ma dzisiaj chyba kierunku etnologii, który by nie włączył w swój program

²² W związku z dyskusją nad pracą A. Schaffa lekko bronili idiografizmu B. Suchodolski i O. Lange, a silnie T. Kotarbiński (Sprawozdania z czynności i prac PAN, r. I, nr 3—4, Warszawa 1953, s. 121 n.). Potem rozwinęła się niezależnie od siebie cała literatura: J. Adamus, *Kazimierz Tymieniecki i jego dzieło*, *Czasopismo Prawno-Historyczne*, t. X/1, 1958, s. 52 n.; I. Lazari-Pawłowska, *Idiograficzna koncepcja historii*, *Studia Filoz.*, nr 1/4, 1958; A. Malewski, *Zagadnienie idiograficzności historii*, „*Kwartalnik Historyczny*”, r. 65, nr 2, 1958. Dowodzić się to wydaje, że szeroko się u nas odczuwa potrzebę uporządkowania tego zagadnienia.

badawczy chociażby nieco elementów historycznych. A stał się ów przewrót faktem nie tylko na terenie kierunków, które wprost używają słowa „historyczny”, jak niemiecka szkoła historyczno-kulturalna albo też metoda konkretno-historyczna radzieckiej etnografii. Również i funkcjonalizm oraz szkoła Boasa włączyły we własny program wiele z idiografizmu.

Tylko nie chciano sobie tego faktu uświadamiać, aby zapewne ominąć jeden z niełatwych problemów²³. Lecz wydaje mi się, że przez ominięcie najistotniejszej kwestii spowodowano obecnie istniejący chaos metodyczny na gruncie tej nauki. Każdy większy uczony posiada tutaj jakąś własną metodologię, która mniej lub więcej różni się od nawet pokrewnych metodologii²⁴. Jeśli nawet ograniczymy nasze spojrzenie do najbardziej j wyrazistych metodologii, to jeszcze wówczas rozchodzą się one, i to nie tylko pozornie, w rozmaitych kierunkach, co także jest oznaką pewnego chaosu. Jeśli natomiast udało się nam pochwycić istotę tego, co się dzieje w tej nauce od początku bieżącego stulecia, to wiele rzeczy ułoży się dość składnie.

Pozwolę sobie nawet zaproponować bez potrzeby — jak się wydaje — obszerniejszego uzasadnienia trzy główne punkty problemu metodologicznego tej nauki.

1. Jak w samej historii²⁵, tak też i w etnografii można na tę samą rzecz spojrzeć i w sposób idiograficzny i w sposób nomotetyczny równocześnie; oba sposoby są tak odmienne, że się wzajemnie nie wykluczają, lecz przeciwnie, uzupełniają.

2. Obecny problem metody etnografii polega na problemie ustosunkowania do siebie tych obu metod: czy więcej tego, czy też tamtego?

3. Zapewne oszczędzilibyśmy sobie poszukiwań, gdybyśmy wzięli tutaj za wzór stosunek w historii obu metod do siebie, a zatem oddzielili je, tak że niezależnie od siebie można byłoby zastosować całą metodę nomotetyczną i całą metodę idiograficzną²⁶. Nie będzie na pewno tak,

²³ Tak Graebner, o. c., s. 3 n., tylko się ociera o zagadnienie idiografizmu.

²⁴ Ten chaos jest szczególnie widoczny w amerykańskim wydaniu podręcznika metodologii etnologicznej ks. W. Schmidta. Wydanie to nie jest prostym tłumaczeniem oryginału niemieckiego, ale ma uzupełnienia co do kierunków anglosaskich.

²⁵ Por. na przykład Adamus, *Kazimierz Tymieniecki i jego dzieło*, o. c.

²⁶ Nie rozumiem, co niektórzy autorzy chcą powiedzieć przez dodanie do terminu idiografizm jakiegoś ograniczającego przymiotnika. Teoria idiografizmu niczego nie zamierza dyktować historykowi, a tylko zrozumieć to, co on robi. Jak dotychczas, jest to analiza tego, co robi historyk polityczny, ale może powstanie też podobna analiza pracy historyka społeczno-gospodarczego lub też historyka prawa. Wtedy uzyskamy rozmaite kształty idiografizmu i wówczas dodanie przymiotnika bliżej określającego będzie uzasadnione.

aby historia czy też ta część etnografii, która będzie i jest pisana idyograficznie — miała stanowić tylko dyscyplinę przygotowawczą do etnografii nomotetycznej²⁷. A także tak nie będzie, byśmy mieli z tej ostatniej dedukować fakty, gdyż historia jest nauką empiryczną, a nie dedukcyjną²⁸. Oba podejścia są od siebie nawzajem niezależne i mogą być nawet, bez żadnej straty dla samej treści, oddane do obu odrębnych dyscyplin naukowych.

Jeśli umieścimy obie metody obok siebie, na tej samej płaszczyźnie — o co podejrzewam obecnych metodologów etnografii — to jedna metoda musi ograniczać drugą, a sama też nie będzie mogła rozwinąć w pełni swych zalet. Słuszne będzie całkowite oddzielenie obu metod od siebie i umieszczenie ich na odrębnych płaszczyznach. W zasadzie nie zależy od siebie poszukiwanie praw i opis faktów indywidualnych, konkretnych, w sposób powiązany. Cały problem stosunku obu metod do siebie ograniczy się przy takim założeniu do zagadnienia, na ile obie będą mogły na siebie wzajemnie wpływać. Tak może znalezione prawa będą wpływać na wybór tematu badania idiograficznego, na dobór faktów i ich wartościowanie, a odwrotnie idiograficzne spojrzenie na rzecz, które może korygować pewne, zbyt abstrakcyjne prawa. Na przykład wielcy ludzie, którzy zawsze należą do idiografii, gdyż zawsze stanowią indywidualności, a korygują prawa przez wprowadzenie elementu ludzkich talentów, zalet i wad. Tak samo jakieś „imponderabilia” psychiczne, które pewien lud czynią niesłychanie opornym na wpływ wyższej kultury albo też stwarzają pewne predyspozycje, talenty lub antytalenty w danym narodzie. Nawiasowo dorzucę, że od takich psychicznych skłonności narodu należy odróżnić wpływ ideologii, które sobie ów naród stworzył, a co może na pierwszy rzut oka wydawać się wrodzoną jakąś cechą psychiczną (o tym jeszcze wzmiankuje nieco dalej niżej).

Na tym tle dopiero przyjrzymy się dyfuzjonizmowi, który Moszyński zwie ewolucjonizmem krytycznym. Najpierw stwierdźmy, że teoria kręgów kulturalnych, związana ze szkołą historyczno-kulturalną, jest niemieckim odpowiednikiem anglosaskiego dyfuzjonizmu. Tak samo też w szkole Boasa „obszar kulturowy”²⁹. Tylko funkcjonalizm niewiele ma wspólnego z dyfuzjonizmem. Otóż dyfuzjonizm (w najszerszym znaczeniu słowa) popełnia podobny błąd jednostronności, co ewolucjonizm, gdyż czyni z „wpływologii” taką samą zasadę i główne prawo, jak ewolucjonizm z paralelizmu i wszystkiego, co się z tym łączy. Tak samo też

²⁷ Jak to sobie pod koniec wieku XIX dość powszechnie wyobrażano, np. J. Czelakowski (por. J. Adamus, *Polska teoria rodowa*, Łódź 1958, s. 180, uw. 6).

²⁸ Por. o tym na początku niniejszych uwag.

²⁹ Oczywiście, nie „areał kulturowy”, lecz „obszar kulturowy”.

przez aprioryczny sposób wyjaśnienia, podobno uniwersalny, przeszkadza nam w szukaniu związków przyczynowych rzeczywiście, stawiając na to miejsce fikcyjne. Tymczasem z góry nie powinniśmy przesądzać tak ważnych kwestii. I to jest w abstrakcji pewne podobieństwo dyfuzjonizmu z ewolucjonizmem, natomiast poza tą abstrakcją oba aprioryczne monizmy stanowią dla siebie wręcz odwrotne przeciwieństwa. Oczywiście dyfuzjonizm jest późniejszy, zatem i trochę więcej krytyczny, ale w zasadzie powtarza na wywrót dawny błąd swej starszej siostry, nie jest zatem tak nadzwyczajnie godny pochwały. Praktycznie też, przynajmniej na polskim terenie, dawni ewolucjoniści łatwo zmieniali się w dyfuzjonistów typu teorii kręgów kulturalnych i na tym fundamencie tworzyli swoje ideologie³⁰. Mimo to wydaje się nam opaczne nazywanie ewolucjonizmem jego logicznej antytezy, bo dopiero synteza obu wnosi pewną równowagę pomiędzy obu przeciwieństwami. Dlatego też koncepcja uznająca dyfuzjonizm za odmianę ewolucjonizmu, przedstawia poważne niebezpieczeństwo wprowadzenia pewnego zamieszania, a jej zaletą będzie tylko podkreślenie słusznego postulatu, aby nie wszystko odrzucać ze starego ewolucjonizmu.

Ten sam moment podkreśla często przez autora stosowane określenie ilościowe, jak przeciwstawienie stosowania pewnej metody „bardzo ostrożnie i tylko ogólnie” do jej stosowania „nieostrożnie i dosłownie” (s. 71) lub też „grubo przesadne rozumienie owej jednakowości” (s. 71), lub „zbyt pośpieszne, ogólnikowe i śmiałe rekonstrukcje” (s. 85)³¹. W metodologii oznacza to chyba ominięcie trudności, gdyż trzeba by się domagać zdefiniowania, na czym tutaj polega nieostrożność i dosłowność (to znaczy chyba wzięcie jakiejś metafory dosłownie?), przesada, śmiałość itp. Jeśli cały kierunek dopuszczał się takich nadużyć metod w zasadzie słusznych, wystarczy jedynie określenie dokładniejsze tych metod, a przez zapobieżenie w ten sposób nowym nadużyciom cała reforma polegałaby na pewnej reformie i udoskonaleniu dawnych metod. Gdy natomiast mówimy ogólnikowo o nieostrożności, nie będziemy wiedzieć, co należy w dawnych metodach ograniczyć. Dlatego też tak ogólnie ujęta reforma nie mogłaby zapobiec ponownemu nadużyciu metody. Dodać warto, że

³⁰ W nauce por. na przykład S. Estreicher (Adamus, *Polska teoria rodowa*, s. 183, uw. 15). Natomiast w polityce stańczycy, a za nimi endecja i sanacja, tak ostro się przeciwstawili dawnej i oczywiście błędnej teorii romantycznej o wyprzedzeniu przez Polskę świata, że aż przesadnie uczyli o zacofaniu Polski i konieczności naśladowania Europy, stwarzając ideologię duchowej niewoli wobec zachodu.

³¹ Także ostrzega „przed zbyt daleko idącym uogólnianiem faktów i nazbyt pośpiesznym wyciąganiem z nich jednostronnej konsekwencji” (s. 764). Lub też „przesada antyewolucjonizmu” (s. 37). Inna rzecz, że jestem skłonny się zgodzić, że antyewolucjonizm w ogóle (a w szczególności dyfuzjonizm) popadł w przesadę.

przecież i wedle autora istota rzeczy nie leży w ograniczeniu dawnych metod, ale we wprowadzeniu zgoła nowych.

Wydany obecnie tom miał stanowić pierwszy człon wielkiej pracy, przedstawiającej całość etnografii powszechnej i etnologii. Zauważyć wolno, że prof. Moszyński jest słusznie zwolennikiem wielkich prac. Obecny tom pisał autor w latach 1946—1949. Píše o tym tak: „Tak się jednak stało, że z przyczyn ode mnie niezależnych, zupełnie już przygotowany do druku, przeleżał się u mnie do chwili obecnej obok gotowych w pierwszym brulionie rękopisów dziesięciu monografii wybranych ludów egzotycznych, które miały wypełnić II i III tom zarysu”. Autor zaniechał zupełnie rozpoczętą pracę nad tomem IV, który miał dać obraz najdawniejszej kultury ludzkości (s. VII). Wydaje się, że należałoby silnie wyrazić życzenie, aby dla dobra nauki autor zechciał nie odkładać tych zamierzeń, ale je podjął ponownie i doprowadził szczęśliwie do realizacji ^{31a}.

Autor nie należy do wielbicieli mikrologii (s. 166 n., 659) i z przekąsem pisze o „fachowcach o bardzo skromnych ambicjach” (s. 57) lub o „etnografach poświęcających się trzeciorzędnym myślom” (s. 60, podobnie s. 95). Zachodzi pytanie, czy ta skłonność do myśli syntetycznej w etnologii stanowi analogię do podobnych tęsknot w historii, czy też odwrotnie — skłonność do nawrotu do dawnych, pięknych lat świetności szkoły ewolucyjnej? Za drugą ewentualnością zdawałby się przemawiać następujący ustęp: „Chaotyczne pomieszanie nazw dyscyplin naukowych, przedmiotów ich badań i ich metod oraz rozproszkowanie zainteresowań i znaczne 'obniżenie lotu' wielu czołowych etnologów dzisiejszych w porównaniu z tym, co dawały zasadnicze, omówione wyżej orientacje, powoduje uświadomienie sobie przez część tych etnologów konieczności nawrotu do głębszej, teoretycznie ugruntowanej postawy badawczej. Będzie ona zapewne, gdy się pojawi, eklektyczną w tym rozumieniu, iż będzie zawierała w sobie wszystko, co było dobre w postawach dotychczasowych. Nawykliśmy co prawda patrzeć dość krzywo lub z góry na wszelkie eklektycyzmy. Ale czymże się różni od tak ogólnie szanowanej 'syntezy' dobry eklektyzm, głęboki, intymnie scalający wszystko, co wziął w siebie?” (s. 98 n.). Autor ma nastawienie przyrodnicze (s. 831) i zapewne posiada skłonność nie tyle do idiograficznego, ile do nomotetycznego badania zjawisk etnograficznych. Po odrzuceniu błędnych metod dawnego ewolucjonizmu nie wydaje mi się dzisiaj nic stać na przeszkodzie poszukiwaniu na lepszej podstawie praw rozwoju ludzkości. Przykład książki K o s w i e n a jest pod tym względem bardzo zachęcający.

Całe dzieło rozpada się na dwie części. Część pierwsza zajmuje się

^{31a} Słowa te pisano jeszcze za życia prof. Moszyńskiego. W chwili ich drukowania trzeba z żalem skłonić głowę przed świeżą mogiłą wielkiego uczonego.

samą metodologią tej nauki. Rozdział I ustala „niektóre podstawowe pojęcia nauk etnologicznych”, a rozdział II przedmiot, podział i cel nauk etnologicznych. Nasuwa się tutaj uwaga ogólniejsza, która również może się odnosić do książki Lutyńskiego. Angielskie słowo „pattern” — wzorec, które się napotyka często w nowszej literaturze anglosaskiej, jest bardzo nieokreślone i wprost mętne, dlatego też nie bardzo mi się wydaje godne przeniesienia do naszej nauki. Jeśli autor pisze w pewnych miejscach o „wzorcu tradycyjnym”, to przecież wzorec nie musi być wcale tradycyjny. Czasami te wzorce ulegają szybkim i gruntownym przemianom. Por. na przykład co autor pisze: „Przy tym wszystkim nie wolno zapominać ani na chwilę, że kulturowe względnie kulturowo-psychiczne formacje podlegają zmianom bardzo gruntownym i nieraz stosunkowo bardzo też szybkim” (s. 97). W innym miejscu znowu pisze: „Psychika i kultura zazębiają się nieprawdopodobnie silnie i jeśli wolno rzec, iż kultura wyrasta z psychiki, to z drugiej strony nie podobna zaprzeczyć, że i na odwrót, psychika w bardzo znacznej mierze wyrasta z kultury” (s. 498). Myśli te są trafne, ale widzimy, że to, co w jednym miejscu zwie się u autora wzorcem, to w drugim miejscu już występuje jako „kulturowe względnie kulturowo-psychiczne formacje”, a w jeszcze innym ogólnie jako „kultura”. Wydaje się, że o wiele bardziej precyzyjne jest pojęcie ideologii, które łatwiej pozwala uchwycić to, co w tym zjawisku jest istotne³². Z chwilą zmiany ideologii zmienia się też psychika społeczna, zbiorowa, co dowodzi, że obie dopiero łącznie tworzą ten mechanizm poruszający masy.

Rozdział III omawia główne kierunki i metody nauk etnologicznych. Wydaje się, że zbyt mało miejsca i może też uwagi poświęcił autor Francuzom, o których na rozmaitych miejscach swej pracy wspomina, ale na ogół raczej jakby nie uznawał ich za godnych bliższego omówienia.

Rozdział IV wreszcie przedstawia zarys dziejów nauk etnologicznych. Zaczyna go autor od wiadomości natury etnograficznej u Homera i innych pisarzy greckich. Zwie to też „przeglądem literatury starogreckiej z punktu patrzenia zainteresowań etnografa” (s. 126), uzasadnia to nawet (s. 127), ale pomimo wszystko czytelnik musi pomyśleć, że niesłusznie wielcy poeci stanęli w dziejach nauki. Może tylko dla Lukrecjusza (s. 128) można by zrobić wyjątek i zaliczyć go już do początków nauki etnograficznej. Inna rzecz, że zestawienia, jakie nam daje autor, są nadzwyczaj ciekawe i instruktywne.

Szkocka szkoła filozoficzna, razem z jej wpływem na obszerniej potraktowanego Condorceta i francuskich myślicieli wieku XVIII (s. 143)

³² Analizuje i zaleca to pojęcie J. Adamus, *Ideologia feudalna w Polsce wieku X—XII*, *Studia wczesnośredniowieczne*, t. IV, 1958.

oraz z mitem Newtona, który tak walnie się przyczynił do powstania nomotetycznych nauk humanistycznych, wymagałyby moim zdaniem obszerniejszego uwzględnienia³³. Autor (tak samo i Lutyński) stawia na równi Malinowskiego z Radcliffe-Brownem. Anglosasi na ogół raczej odwracają ten stosunek i widzą w Radcliffe-Brownie inicjatora, a w Malinowskim pełnego talentów kontynuatora. Ponieważ Anglosasi zwykle nie zdradzają wyraźniejszego pociągu do szowinistycznego uprzywilejowania swoich rodaków, my zaś nie możemy być wolni od podobnych posądzeń, postulowałbym dokładniejsze zbadanie wzajemnego stosunku tych dwu uczonych do siebie i ogłoszenie wyników in extenso.

Część druga zajmuje się uogólnieniami co do poszczególnych czynników rozwoju ludzkości. Rozdział I omawia środowisko geograficzne, rozdział II zagadnienia demograficzne i biologii człowieka, a rozdział III zróżnicowanie fizyczne człowieka, czyli antropologię. Rozdział IV, rozpatrujący ludzkość pod względem porównawczo-psychologicznym, stwierdza, że „dzicy” mają taką samą psychologię, co Europejczycy. Identyczność ta sięga do zjawisk paranormalnych (s. 647 n.) włącznie, które etnografowie europejscy tak często interpretowali w duchu fałszywego racjonalizmu. W błąd podobny autor już nie wpada, nie odpowiadałoby to już dzisiejszej wiedzy, jak i nie odpowiada jej funkcjonalny racjonalizm Malinowskiego. Rozdział V jest po prostu wykładem lingwistyki. Ciekawe są dla nas szczególnie spostrzeżenia o przemianach językowych w związku z podbojami (s. 761 n.). Wydaje się, że gdyby ktoś u nas miał mieć wątpliwości co do możliwości uogólnień i prawidłowości w historii, powinien sobie przeczytać część drugą dzieła Moszyńskiego.

Tak Moszyński również, zajmując się ex professo etnografią, przecież blisko współpracuje i z antropologią i z lingwistyką. Tylko archeologia wyszła u niego zupełnie poza nawias zainteresowań. O ile dobrze zauważyłem, nawet autor nie wspomina archeologii.

*

Tak, wprawdzie może zbyt krótko, ale przecież nie mniej bardzo gorąco wypadło nam przywitanie tych dwu wybitnych dzieł naszej literatury naukowej.

³³ Por. zwłaszcza dawną monografię Elie Halévy'ego o radykalizmie filozoficznym angielskim. Na s. 179 autor przekłada ang. *lecturer* na „lektor”. Nie jest to słuszne, ów termin angielski odpowiada naszemu wykładającemu w ramach wykładów zleconych.

